



{MENU}

{PODZIEL:"To dopiero sześć miesięcy ..." - wywiad z prof. Leonem Kiereselem.}

"To dopiero sześć miesięcy ..."
z prof. Leonem Kiereselem, Prezesem Instytutu Pamięci Narodowej
rozmawia Barbara Polak

B.P. - Instytut Pamięci Narodowej istnieje już kilka miesięcy. Pracuje centrala, oddziały terenowe, prokuratorzy, historycy. Jak Pan ocenia działania Instytutu?

L.K. - Minęło sześć miesięcy, bo 30 czerwca złożyłem ślubowanie i objąłem funkcję prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Proszę pamiętać, że Instytut przed moim przyjściem nie został utworzony w sensie organizacyjnym. Po złożeniu ślubowania przekazano mi kilkanaście pomieszczeń biurowych. Nie było osób, które stanowiłyby zaplecze organizacyjne, administracyjne. Może nie wszyscy zdają sobie sprawę z tego, że utworzenie każdej instytucji, a zwłaszcza instytucji o tak szczególnym znaczeniu, jak Instytut Pamięci Narodowej, wymagało i wymaga podjęcia tysięcy decyzji. W tym czasie zdołaliśmy zorganizować dziesięć oddziałów, w tym Oddział Warszawski, oraz tzw. centralę w Instytucie. Organizacja oddziału oznacza utworzenie trzech wewnętrznych jednostek - oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, Biura Udostępniania i Archiwizacji Dokumentów i Biura Edukacji Publicznej. To są struktury organizacyjne, które odpowiadają trzem pionom Instytutu, czyli trzem sposobom aktywności Instytutu.

B.P. - A jak to wygląda w szczegółach?

L.K. - Przygotowaliśmy wszelkie niezbędne dokumenty, gdy idzie o archiwizację i udostępnianie akt służb specjalnych lub innych instytucji, które mają obowiązek przekazania nam tych dokumentów. Wiemy, gdzie są te akta,

ile ich jest - około 97 kilometrów - i gdzie będą archiwizowane. Teraz również opracowaliśmy sposób ich udostępniania, łącznie z formularzem zgłoszeniowym, który jest tym podstawowym dokumentem potrzebnym pokrzywdzonemu, by mógł się zwrócić z prośbą do Instytutu w celu udostępnienia dokumentów archiwalnych. Powołaliśmy już sześćdziesięciu prokuratorów, dwóch w Głównej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu, 58 w oddziałowych komisjach oraz wznawiliśmy ponad sześćset śledztw - około stu dwudziestu dotyczy zbrodni hitlerowskich czy nazistowskich i ponad czterysta, gdy chodzi o sprawy komunistyczne. W tej chwili wszczyliśmy własne śledztwa, tamte przejmowaliśmy i wznawialiśmy po pracach Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Przygotowaliśmy program edukacji publicznej. Byliśmy organizatorami i współorganizatorami tak ważnych i, choć to nie najlepsze w naszym przypadku określenie, prestiżowych wydarzeń, jak wystawa poświęcona Grudniowi 1970 r. (w ciągu najbliższych miesięcy będzie można ją oglądać w kilkudziesięciu miastach Polski), konferencja naukowa a ten sam temat w salach Senatu, konferencja poświęcona nauczaniu o Holokauście i martyrologii narodów, organizowana wspólnie z Muzeum w Gross Rosen. Instytut już wydał trzy książki i przygotowuje kolejne.

I proszę pamiętać, że stało się to podczas kilku miesięcy. W Instytucie pracuje w tej chwili niespełna pięćset osób. Pracowników administracji jest zaledwie około 15 procent, większość to pracownicy merytoryczni trzech pionów. W sierpniu pastor Gauck powiedział mi, że to, co zrobiłem przez dwa miesiące, on robił dwa lata. Możemy więc powiedzieć - nie zawaham się użyć tego sformułowania - o tytanicznej pracy.

W tej chwili największym wyzwaniem dla Instytutu są nieruchomości. Mamy już budynki i należy podkreślić, że ani jednego nie kupiliśmy. Na przejęcie nieruchomości nie wydaliśmy z budżetu Instytutu ani złotówki. Wszystkie otrzymaliśmy od skarbu państwa, Agencji Mienia Wojskowego lub jednostek samorządu terytorialnego. Wymagają one dużych nakładów na remonty i zabezpieczenia, ale to już jest inny problem.

B.P. - A jak ocenia Pan atmosferę polityczną wokół IPN-u?

L.K. - Nie najgorzej. Muszę ani powiedzieć, że straszono mnie od samego początku, że atmosfera wokół Instytutu będzie zła, że będzie się pogarszać i na pewno skończy się tym, że po najbliższych wyborach parlamentarnych Instytut zostanie zmieciony z życia publicznego. Nie potwierdzam tego - te prognozy się nie spełniły. Uważam, że sprawdziła się koncepcja budowy Instytutu jako instytucji apolitycznej, służącej całemu narodowi. To była moja filozofia i z takim podejściem stawałem przed komisją sejmową, która przesłuchiwała mnie wówczas, kiedy kandydowałem na funkcję prezesa Instytutu Pamięci Narodowej. Mówiłem wtedy, że nie będzie to instytucja służąca jednej opcji politycznej, że instytucja ta musi służyć całemu narodowi polskiemu. Powiedziałem to panu premierowi, panu prezydentowi i to znalazło uznanie.

Myślę, że nasze dotychczasowe dokonania, sprawiły, że Instytut Pamięci

Narodowej nie jest kontestowany. Nie mieliśmy, jak powiedział jeden z dziennikarzy, znaczących wpadek, które mogłyby w złym świetle stawiać Instytut. A apolityczność w naszym działaniu okazała się dobrą filozofią w promowaniu Instytutu, czy w planowaniu naszej koncepcji budowy Instytutu.

B.P. - Czy można powiedzieć, że te odwołujące się terminy przejęcia archiwów i opóźnienia w udostępnianiu teczek wynikają wyłącznie z organizacyjnych powodów?

L.K. - Wyłącznie. Nie ma innych przyczyn. Jesteśmy w pełni przygotowani do tego, żeby nie tylko przejąć te dokumenty, ale i zacząć je stopniowo udostępniać. Nie jestem owładnięty jakąś myślą, nie chcę powiedzieć - manią - przejmowania jak najszybciej, bez względu na to, gdzie to będzie, w jakich warunkach będziemy je przechowywać i w jaki sposób udostępniać. To w ogóle nie wchodzi w rachubę. Stan budynków, nieruchomości, jest jedynym, powtarzam - jedynym powodem opóźnień.

B.P. - Nie czuje Pan gorącego oddechu na plecach?

L.K. - Oczywiście, że czuję, bo bez przerwy mówi się, że oto właśnie Instytut... A Instytut ma trzy sfery aktywności, ale wciąż się mówi tylko o tej jednej - o archiwach. Nie hierarchizuję tych trzech naszych pól działania, nie nadaję im priorytetów. Nie jest to popularne spojrzenie na zadania Instytutu. Nie kieruję się w przejmowaniu archiwów terminem wyborów, nie myślę, że po wyborach pewnie to nie będzie możliwe. Jakikolwiek błąd tutaj popełniony, stawiający Instytut w złym świetle, mógłby rzeczywiście dać pretekst do twierdzeń, że Instytut jest niepotrzebny, że szkodzi społeczeństwu.

B.P. - Jak wygląda współpraca międzynarodowa Instytutu? Czy poza Instytutem Gaucka istnieją podobne placówki w innych krajach i jak wygląda sprawa przywracania pamięci narodowej w krajach obozu postsowieckiego?

L.K. - Byłem w Bratysławie, spotkałem się z Janem Czarnogórskim - słowackim ministrem sprawiedliwości. Tam nie ma w ogóle takiej instytucji jak IPN, tymi sprawami zajmuje się jedynie departament w Ministerstwie Sprawiedliwości. Obecnie nawiązujemy współpracę z naszym odpowiednikiem w Rumunii, który zwrócił się do nas z taką propozycją. Byłem też u pani Dalii Kuodyte w Wilnie, stało się to przy okazji odsłonięcia pomnika w Ponarach. Pani Kuodyte kieruje litewskim odpowiednikiem naszego Instytutu - Centrum Badań Ludobójstwa i Oporu Mieszkańców Litwy. Centrum ma podobny status, jest instytucją niezależną. Nasza współpraca dopiero się rozpoczyna. Na Węgrzech istnieje podobny instytut, na razie nie nawiązaliśmy z nim współpracy, ale na pewno do niej dojdzie. Duże nadzieje wiąże ze współpracą z Muzeum Holokaustu w Waszyngtonie, instytucją o uznanym prestiżu. Otrzymałem również zaproszenie do złożenia wizyty w Instytucie Yad Vashem.

Bardzo istotną rolę w naszych kontaktach międzynarodowych pełni Centrala

Badania Zbrodni Narodowo-Socjalistycznych w Ludwigsburgu oraz Departament Sprawiedliwości w Stanach Zjednoczonych. Ta współpraca dotyczy wszczynanych czy toczących się śledztw dotyczących zbrodni popełnionych w czasie II wojny światowej i funkcjonowania państwa komunistycznego.

B.P. - Te kontakty zapewne mają doprowadzić do wzajemnych deklaracji o dostępie do archiwów?

L.K. - Niewątpliwie. Należy jednak zauważyć, że te deklaracje, które sobie wzajemnie składamy, nie przyjmują konkretnych kształtów, ponieważ tych archiwów jeszcze nie ma, poza archiwum Głównej Komisji Badania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu i dwoma kilometrami archiwum Ministerstwa Spraw Wewnętrznych i Administracji, bo je już przejęliśmy czy przejmujemy. Ogromna część tego procesu jest dopiero przed nami.

B.P. - Jak opisałby Pan atmosferę międzynarodową wokół Instytutu Pamięci Narodowej? Czy nie jest tak, że dla Europy Zachodniej nasze poczynania wyglądają cokolwiek egzotycznie? Czy spotyka Pan dowody zainteresowania i sympatii dla IPN-u?

L.K. - Bardzo duże. Przyjeżdżali do nas dziennikarze z wielu wysokonakładowych, prestiżowych dzienników typu "Daily Mail", chociażby, "Los Angeles Times", "Liberation", "Der Spiegel". Byli nawet przedstawiciele prasy z Afryki Południowej. Muszę powiedzieć, że jest znaczne zainteresowanie Instytutem. Oni odkrywają, że to nie jest polski odpowiednik Instytutu Gaucka. Szczególnie interesuje ich, że my, oprócz archiwów, mamy Komisję Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu. Interesują ich informacje o prowadzonych tu śledztwach. Z dużym zainteresowaniem spotyka się sprawa Jedwabnego, aresztowania Henryka M., zbrodni nazistowskich popełnionych na Polakach, stosunków polsko-ukraińskich, sprawa SS "Galizien". Interesują się także naszą działalnością edukacyjną i naukowo-badawczą. Często są zaskoczeni, gdy dowiadują się, że Instytut ma również taką misję i że działalność ta nie jest drugoplanowa.

B.P. - A jak na wiadomość o powołaniu IPN-u zareagowała społeczność polonijna? Ta amerykańska i z Europy Zachodniej?

L.K. - Nie mogę udzielić na to pytanie generalnej odpowiedzi. Miałem do tej pory dopiero jedno spotkanie z Polonią w Baltimore, w listopadzie, przy okazji odsłonięcia pomnika katyńskiego. Ludzie, z którymi się tam spotykałem, wiedzieli kim jestem, co robię. W lutym, kiedy będę w Stanach Zjednoczonych, spotkam się z Polonią w Nowym Jorku, Waszyngtonie, Los Angeles i Chicago. Wtedy będę mógł powiedzieć dokładniej, jakie jest to zainteresowanie. Proszę pamiętać, że byli obywatele polscy mieszkający za granicą, będą mieli również prawo dostępu do archiwów Instytutu Pamięci Narodowej na zasadach, wedle których to archiwum będzie udostępniane

osobom pokrzywdzonym.

B.P. - Moje kolejne pytanie będzie kontynuacją poprzedniego. Odnoszę wrażenie, że bardzo niewiele o nas wiedzą Polacy z terenów byłego imperium sowieckiego. A przecież ich losy na przestrzeni ostatnich sześćdziesięciu lat stanowią nie tylko część polskiej historii, ale zobowiązują również do tego, by i oni mieli dostęp do materiałów IPN-u, przede wszystkim edukacyjnych i informacyjnych. Na ile takie myślenie jest obecne w IPN-ie ? Czy nie zapomina się o tych ludziach na Wschodzie, którzy często pozbawieni obywatelstwa i różnych innych atrybutów przynależności narodowej, bez wątpienia są częścią narodu?

L.K. - Tak, w tej sprawie byłem w Ministerstwie Spraw Zagranicznych, ponieważ to ono może pobudzić zainteresowanie pracami Instytutu. Rozmawiałem z panem ministrem w sprawie pomocy, której od nich oczekujemy - po pierwsze, gdy idzie o upowszechnianie informacji o Instytucie. Po wtóre - w tak ważnej dla nas sprawie, jak rozpowszechnianie poprzez polskie placówki dyplomatyczne naszych formularzy zgłoszeniowych i następnie ich przyjmowanie. Jest tutaj pełna akceptacja. Po trzecie - nawiązanie poprzez MSZ kontaktów z podobnymi instytucjami zagranicznymi. Współpraca z innymi organizacjami, które obejmują swą działalnością Polaków mieszkających na Wschodzie, jest na pewno dla nas zadaniem, którego będziemy się podejmować w nieodległej przyszłości.

B.P. - Myślę, że to jest jeden ze sposobów, żeby odzyskać dla Polski najmłodsze pokolenia czy kolejne pokolenia Polaków zamieszkałych za granicą. Oni dzięki temu odzyskują godność. To są ludzie, którzy często wstydzą się tego, że są Polakami, wstydzą się losów własnej rodziny, własnego kraju. Zapominają, że na te losy, wpływały okoliczności, które nie zależały od własnych, wolnych wyborów.

L.K. - Mam to na uwadze. Z całą pewnością jest to ważne zadanie dla Biura Edukacji Publicznej, które będę wspierać.

B.P. - Nasza rozmowa ujawnia, jak wielkie obszary życia narodu obejmuje działalność Instytutu Pamięci Narodowej.

L.K. - Pojawiają się wciąż nowe kategorie zadań, których do tej pory nie uwzględnialiśmy. Na przykład odbioru społecznego naszej działalności czy inicjatyw. Oczekiwania są takie, że Instytut Pamięci Narodowej ma pielęgnować pamięć o dobrych uczynkach Polaków. Tymczasem odkrywamy również sprawy, które nie przynoszą nam chluby. Byli wśród nas również tacy, których najchętniej nie chcielibyśmy zaliczać do narodu, społeczeństwa, do obywateli państwa polskiego. I to w różnych obszarach - stosunków z Żydami, Niemcami, Ukraińcami, z Polakami. Pytanie, które ciągle sobie stawiam, jest takie: czy społeczeństwo polskie jest przygotowane na to, by Instytut zajmował się takimi sprawami? Uważam, że Instytut musi być

również instytutem pamięci narodowej o tych niechlubnych kartach w naszej historii.

B.P. - Nawet w samej nazwie Instytut Pamięci Narodowej zawarty jest pewien element socjologiczny. Myślę, że Instytut powinien wspomagać inne jeszcze dyscypliny, nie tylko historia i prawo, które ułatwiłyby świadome korzystanie z gromadzonej przez nas wiedzy. Pan mówił o tym w niektórych wywiadach - o pewnym lęku, czy po otwarciu archiwów nie stanie się z nami, ze społeczeństwem, coś złego. Czy zadaniem Instytutu powinna być także próba wsparcia tych, którzy muszą uporać się z prawdą o trudnych sprawach z przeszłości?

L.K. - Tak również rozumiem naszą rolę. Poprosiłem dyrektora Biura Edukacji Publicznej, żeby Biuro przygotowało program pewnej terapii, używam tutaj takiego właśnie określenia, dla Jedwabnego, dla mieszkańców tego miasteczka. Bo ci mieszkańcy, którzy przecież nie mogą odpowiadać za winy swoich ojców czy dziadów, rzeczywiście staną przed wyzwaniem, które okażą się dla nich dramatyczne i sami sobie z nimi mogą nie poradzić. Nagle może ich dotknąć ostracyzm, oskarżenia...

B.P. - ...myślę, że to już się dzieje...

L.K. - Uważam, że to właśnie Instytut powinien im pomóc. To Instytut powinien się znaleźć obok nich, być z nimi, w tym trudnym momencie...

B.P. - Po lekturze doniesień prasowych widzę, jak ważnym obowiązkiem IPN wobec społeczeństwa jest przyjęcie zasady, że na temat spraw, którymi zajmuje się Instytut, wypowiadają się nasi prawnicy i historycy. Oczywiście trzeba pamiętać o zachowaniu wszystkich warunków koniecznych dla dobra śledztwa. Czytelnicy prasy mogą odnieść wrażenie, że jeśli chodzi o takie gorące tematy, jak Jedwabne czy Huta Pieniacka, jesteśmy w pewnej defensywie -dziennikarze już wszystko wiedzą, a Instytut milczy.

L.K. - My takie działania wyprzedzające również podejmujemy. W sprawie aresztowania Henryka M., chociażby, czy Jedwabnego. Jest cały szereg śledztw z obszaru stosunków polsko-ukraińskich, których jeszcze nie nagłaśniamy. Dla dobra prowadzonego śledztwa czasami konieczna jest dyskrecja, gdy idzie o kontakt z mediami, czy opinią publiczną. Zanim poinformujemy opinię publiczną, musimy mieć pewność co do naszego stanowiska, co do rozwoju tych postępowań dochodzeniowo-śledczych czy badań naukowych. Trzeba pamiętać, że nie mamy jeszcze archiwów, badania naukowe dopiero się rozpoczynają. Jeśli chodzi o sprawę Jedwabnego, bardzo bym chciał, żeby amerykańskie wydanie książki "Sąsiedzi" Jana T. Grossa, zostało poprzedzone naszym wydawnictwem, które będzie pokazywało wydarzenia z lipca 1941 r. na szerszym tle historycznym, przedstawiało nowe dokumenty. Nie będzie to jednak możliwe, bo solidne przygotowanie takiej publikacji wymaga czasu. Książka naszego Biura Edukacji Publicznej ukaże

się w lipcu, w kilka miesięcy po wydaniu "Sąsiadów" w USA. Na wiosnę natomiast chcemy opublikować białą księgę z dotychczasowych wyników śledztwa w sprawie Jedwabnego i przesłuchań świadków. O tym oczywiście musi zdecydować prokurator, który prowadzi śledztwo.

Tego rodzaju działania są już podejmowane. Także, jeśli chodzi o zbrodnie stalinowskie - aresztowania ówczesnych prokuratorów, przesłuchania. Proszę pamiętać, że jednocześnie musimy robić bardzo różne rzeczy, które się na siebie nakładają - z jednej strony nadal budujemy Instytut - z drugiej, prowadzimy śledztwa, badania naukowe, działalność edukacyjną. Ciągłe jeszcze nie mamy ostatecznych struktur, ostatecznych koncepcji naszego działania. Za nami tylko sześć miesięcy...

{MENU}

{PODZIEL:DYWIZJA SS "GALIZIEN"}

DYWIZJA SS "GALIZIEN"

Podczas II wojny światowej część środowisk ukraińskich, głównie w Galicji, widziała w III Rzeszy jedyną siłę, która mogła zapewnić powstanie niepodległej Ukrainy. Dlatego niejednokrotnie zwracały się one do Niemców z propozycją powołania ukraińskich jednostek wojskowych. Na początku 1943 r. rosnące straty skłoniły niemieckich przywódców do przyjęcia propozycji. Postanowiono sformować galicyjską dywizję Waffen SS przeznaczoną do regularnych walk na froncie wschodnim. Przyjęła ona nazwę 14. Ochotniczej Dywizji SS "Galizien" (po ukraińsku "Hałyczyna"). Tworzenie cudzoziemskich jednostek SS nie było w tym czasie niczym wyjątkowym. Pod hasłem walki z komunizmem sformowano podczas wojny m.in. jednostki francuskie, holenderskie, łotewskie, estońskie, chorwackie czy białoruskie.

Informację o formowaniu dywizji ogłoszono 28 kwietnia 1943 r. Choć Niemcy nie poczynili żadnych koncesji politycznych, tworzenie ukraińskiego SS powszechnie odebrano jako pierwszy krok w stronę powstania własnego państwa. Z tego powodu nie było większych problemów z naborem ochotników.

Z pierwszego rzutu ochotników do dywizji Niemcy sformowali kilka pułków policji SS (numeracja od 4 do 8). Włączono je w skład dywizji wiosną 1944 r. Nim to zrobiono, dwa spośród nich - 4. i 5., wzięły udział w akcjach skierowanych przeciw partyzantom.

Dywizja "Hałyczyna" otrzymała niemieckie dowództwo. Na jej czele stanął generał major Fritz Freitag, a szefem sztabu został mjr Wolf Heike. Dowódcami pułków policyjnych byli - mjr SS Binz (4) i ppłk. SS Franz Lechthaler (5).

Na początku 1944 r. dywizję skierowano na front. W czerwcu 1944 r. skoncentrowano ją w rejonie Brodów. W lipcu, razem z kilkoma jednostkami niemieckimi została okrążona i rozbita przez nacierającą Armię Czerwoną. W kotle zginęło lub dostało się do niewoli około 7 tys. żołnierzy dywizji. Niemcy szybko uzupełnili zdziśiatkowaną dywizję jednostkami rezerwowymi, odtwarzając jej stan w ciągu kilku miesięcy. Na początku października 1944 r. skierowano ją do zwalczania powstania na Słowacji. W końcu stycznia 1945 r. przerzucono ją do Słowenii, gdzie zwalczała partyzantkę Tito. Od 1 kwietnia 1945 r. do końca wojny, dywizja toczyła boje z Armią Czerwoną w rejonie Grazu w Austrii.

17 marca 1945 r. ukraińskie środowiska emigracyjne utworzyły Ukraiński Komitet Narodowy (UNK), będący reprezentacją Ukraińców wobec III Rzeszy. Jednocześnie powołano Ukraińską Armię Narodową (UNA). Miano ją stworzyć ze wszystkich ukraińskich żołnierzy walczących po stronie Niemiec, w tym, przede wszystkim, z członków dywizji SS "Hałyczyna". Dowódcą UNA został mianowany gen. Pawło Szandruk.

Generał Szandruk, były oficer WP, odznaczony za wojnę obronną 1939 r. krzyżem Virtuti Militari, zaraz po objęciu funkcji udał się do dywizji "Hałyczyna" i doprowadził do przemianowania jej na 1. Ukraińską Dywizję UNA. 7 maja 1945 r., pod jego też wpływem opuściła linię frontu, oderwała się od wojsk radzieckich i wkrótce skapitulowała przed Anglikami i Amerykanami. Ukraińców osadzono w obozach we Włoszech. Zmiana nazwy dywizji, fakt, że jej żołnierze byli do 1939 r. obywatelami polskimi, wreszcie interwencje Watykanu i być może gen. Andersa, uchroniły ją przed deportacją do ZSRR. Warto wspomnieć, że według ukraińskich źródeł 176 żołnierzy dywizji, już po kapitulacji, przeszło do armii Andersa. W 1947 r. byłym żołnierzom dywizji SS "Hałyczyna" pozwolono wyjechać do Kanady i Anglii.

Niewątpliwie najwięcej emocji w historii ukraińskiej SS budzą popełnione przez nią prawdziwe i domniemane zbrodnie wojenne. Chodziło tu przede wszystkim o działania 4. pułku policji w Galicji Wschodniej, oraz 5. pułku policji na Lubelszczyźnie. Najpoważniejsze zarzuty dotyczą spalenia wsi Huta Pieniacka i udziału w tłumieniu powstania warszawskiego.

Wieś Huta Pieniacka była polską placówką samoobrony przed UPA. 23 lutego 1944 r. przybył do niej poszukujący sowieckich partyzantów mały oddział 4 pułku policji złożony z Ukraińców, ochotników do Dywizji SS "Galizien". W trakcie rekonesansu doszło do przypadkowej strzelaniny z miejscową samoobroną. W starciu zginęło dwóch ukraińskich żołnierzy. Na wieść o śmierci Ukraińców Niemcy zorganizowali im manifestacyjny pogrzeb i przeprowadzili karną ekspedycję, która zrównała wieś z ziemią. Kilkuset cywilnych mieszkańców zamordowano. Według relacji świadków żołnierze porozumiewali się po ukraińsku. Zdaniem badaczy ukraińskich pododdziały Dywizji SS "Galizien" nie brały udziału w pacyfikacji. Powołują się przy tym na ocalałą kronikę dywizji. Fakt, że napastnicy rozmawiali ze sobą po ukraińsku, tłumaczą obecnością w niemieckiej policji ukraińskich volksdeutsche. Kwestia ta wymaga dalszych badań. Niemniej - moim zdaniem - byłoby rzeczą dziwną, gdyby Niemcy nie pozwolili członkom 4. pułku policji wziąć odwet na Hucie Pieniackiej za śmierć dwóch swoich kolegów. Zresztą obecności ukraińskiego oddziału SS "Galizien" w pacyfikacji Huty Pieniackiej nie wykluczył Swiatomir Foston, były żołnierz Dywizji "Galizien", a obecnie prezes Brytyjskiego Stowarzyszenia Kombatantów Ukraińskich w wywiadzie opublikowanym w "Gazecie Wyborczej" 27.12.2000 r.

Jeszcze bardziej złożona jest sprawa udziału Ukraińców w tłumieniu Powstania Warszawskiego. Jak pokazały badania Ryszarda Torzeckiego i Andrzeja A. Zięby, w czasie Powstania nie było w Warszawie zwartych jednostek SS "Hałyczyna". Zbrodnie przypisywane oddziałom ukraińskim popełniły inne oddziały, w tym m.in. brygada Bronisława Kamińskiego, formacja złożona z obywateli ZSRR, walczących po stronie niemieckiej. Pomyłka wzięła się stąd, iż warszawiacy, w dużej mierze pod wpływem informacji o pogromach dokonywanych na Wołyniu przez UPA, wszystkie cudzoziemskie jednostki walczące po stronie Niemiec określali jako ukraińskie. Przeciwno powstańcom Niemcy skierowali natomiast dwie kompanie (zapewne około 300 ludzi) Ukraińskiego Legionu Samoobrony (ULS), które walczyły na Powiślu we wrześniu 1944 r. W marcu 1945 r. ULS włączono w skład dywizji SS "Hałyczyna". Czy jednak w skład Legionu wchodziły w tym czasie wspomniane dwie kompanie, tego nie wiadomo.

Pojawienie się niedawno informacji o żyjących w Wielkiej Brytanii ukraińskich żołnierzach SS przywołało obawy, aby historia znów nie pogorszyła stosunków polsko-ukraińskich. Tego typu zagrożenia w żadnym razie nie należy lekceważyć. Niemniej, nie może ono doprowadzić do zaniechania zajmowania się kontrowersyjnymi problemami. Należy jednak pamiętać, że wybór dokonany przez ukraińskich żołnierzy SS nie był ani lepszy, ani gorszy od tego, którego w tym samym czasie dokonywali łotewscy i estońscy członkowie dywizji SS.

Dr Grzegorz Motyka pracuje w Biurze Edukacji Publicznej IPN w Lublinie, autor wielu publikacji na temat stosunków polsko-ukraińskich w latach czterdziestych XX wieku.

Artykuł ukazujący szerzej działania dywizji SS "Galizien" ukaże się w pierwszym numerze naukowego pisma IPN "Pamięć i Sprawiedliwość".

{MENU}

{PODZIEL:Ustalenia wynikające ze śledztwa w sprawie zbrodni ludobójstwa funkcjonariuszy SS "GALIZIEN" i nacjonalistów ukraińskich na Polakach w Hucie Pieniackiej 28 lutego 1944 roku.}

Bogusława Marcinkowska

Ustalenia wynikające ze śledztwa w sprawie zbrodni ludobójstwa funkcjonariuszy SS "GALIZIEN" i nacjonalistów ukraińskich na Polakach w Hucie Pieniackiej 28 lutego 1944 roku.

Wieś Huta Pieniacka, położona w powiecie złoczowskim w województwie tarnopolskim, liczyła ok. 200 zabudowań, gdzie mieszkało ponad 1000 osób, wyłącznie Polaków. Wieś była biedna. W ramach akcji deportacyjnych w 1940 r. wywieziono stamtąd w głąb ZSRR tylko 5 rodzin. Do lutego 1944 r. wieś nie była przedmiotem napadów ze strony nacjonalistów ukraińskich. Z uwagi na jednolity narodowościowo skład mieszkańców wieś była azylem dla uciekinierów z Wołynia. Mieszkańcy wsi zorganizowali dla własnych potrzeb samoobronę, działał tam również oddział AK. Społeczność wsi pozostawała w dobrych stosunkach z oddziałem partyzantki radzieckiej. Partyzanci radzieccy wykorzystywali nie niepokojoną przez Niemców i nacjonalistów ukraińskich Hutę Pieniacką jako bazę wypoczynkową i rekonwalescencyjną dla swych rannych.

W styczniu i lutym 1944 r. oddział partyzantów radzieckich, w liczbie 1000 żołnierzy, stacjonował we wsi przez kilkanaście dni. Nie uszło to uwagi niemieckich władz okupacyjnych, ale w czasie pobytu partyzantów we wsi nie doszło do konfrontacji. Około 20 lutego 1944 r. partyzanci radzieccy opuścili Hutę Pieniacką. 23 lutego 1944r. oddziały bojowe Niemców i policji ukraińskiej przeprowadziły rekonesans bojowy w celu zbadania sytuacji we wsi.

Członkowie samoobrony Huty Pieniackiej nawiązali kontakt bojowy z próbującymi wtargnąć do wsi Niemcami i Ukraińcami. W wyniku strzelaniny co najmniej dwóch żołnierzy w mundurach SS zostało zabitych. Ze znalezionych przy nich dokumentów wynikało, że byli oni żołnierzami stacjonującej w Brodach XIV SS Schutzen Division Galizien.

Potyczka samoobrony wsi z oddziałem SS Galizien 23 lutego 1944 r. i wynikłe z niej ofiary śmiertelne po stronie napastników dawały podstawy do przypuszczeń, że w najbliższym czasie należy się spodziewać odwetu okupacyjnych władz niemieckich. Przypuszczenia te znalazły tragiczne potwierdzenie w poniedziałek 28 lutego 1944 r. Jeszcze w nocy z 27 na 28 lutego do Kazimierza Wojciechowskiego, dowódcy miejscowego oddziału Armii Krajowej i samoobrony wsi, przybył łącznik z Inspektoratu AK w Złoczowie z informacją, że w kierunku Huty Pieniackiej podąża silny oddział SS Galizien z Brodów, w sile około 500-600 żołnierzy. Według zaleceń Inspektoratu AK oddział samoobrony miał nie podejmować walki, ukryć broń, ewentualnie z bronią opuścić wieś, pozostawiając w niej tylko kobiety, dzieci i osoby w podeszłym wieku. Pozostawienie bezbronnej wsi i oddanie jej bez walki stwarzało nadzieję i dawało szansę, że po stwierdzeniu braku zagrożenia, obędzie się bez działań typu pacyfikacyjnego.

Ostrzeżenie o mającej nastąpić akcji wojsk SS Galizien przeszło niestety zbyt późno, bo zaledwie na dwie godziny przed jej rozpoczęciem. Kilku młodym ludziom udało się opuścić wieś już w czasie zacieśniającego się pierścienia otaczających Hutę sił niemieckich i ukraińskich. Wystrzelona rakietnica była sygnałem do rozpoczęcia akcji. Wieś została ostrzelana z moździerzy i broni maszynowej. Mieszkańcy ukrywali się w

piwnicach i wcześniej przygotowanych schronach.

Po ostrzeleniu wsi do Huty Pieniackiej wkroczyli żołnierze SS Galizien i grupy cywilów narodowości ukraińskiej. Strzelali do mieszkańców, którzy próbowali uciekać. Dowodził nimi oficer niemiecki w stopniu kapitana. Pozostałych mieszkańców wyprowadzono z domów i grupami doprowadzono do kościoła. Odbywało się to w bardzo brutalny sposób, np.: siedemdziesięcioletniej Rozalii Sołtys bagnetem rozpruto brzuch, innej kobiecie wyrwano z objęć noworodka i rzucono nim o mur, zastrzelono rodzącą kobietę. Spośród doprowadzonych do kościoła osób około dwudziestu udało się ukryć w piwnicy oraz na wieży kościelnej. One przeżyły. W kościele, gdy rozeszła się wieść, że jest zaminowany i zostanie wysadzony w powietrze, działy się dantejskie sceny. Ludzie chcieli wydostać się na zewnątrz, w obłędym strachu, nie panując nad swoim zachowaniem. Kościół jednak był chroniony bardzo solidnymi drzwiami.

Do kościoła wciąż doprowadzano kolejnych ludzi, inni ginęli na terenie wsi. Każdy dom i zabudowanie gospodarcze, po wcześniejszym ostrzeleniu, były plądrowane i grabione przez przybyłych razem z oddziałem SS Galizien cywilnych Ukraińców, którzy zabierali wszelkie przedstawiające jakąkolwiek wartość przedmioty, żywność, bydło, drób, trzodę chlewną itp. Zrabowany dobytek ładowano na podwozy, zorganizowane przez oddział dywizji w drodze do Huty Pieniackiej z Ukraińców, mieszkańców wsi położonych na trasie jego pochodu.

Kazimierza Wojciechowskiego, dowódcę samoobrony wsi, doprowadzony na plac przed kościołem obłano płynem łatwopalnym i żywcem spalono. Wcześniej zbrodniarze z SS Galizien zamordowali w mieszkaniu jego żonę i córkę oraz trzy ukrywające się u nich Żydówki.

W godzinach popołudniowych rozpoczęto wyprowadzać z kościoła kilkudziesięcioosobowe grupy, które kierowano do stodół i drewnianych zabudowań gospodarczych. Po wpędzeniu do nich ludzi, obiekty te ostrzeliwano z broni maszynowej, a następnie po oblaniu płynem łatwopalnym podpalono. W tej sytuacji "szczęśliwy" los spotkał tych, którzy zginęli od kul, większość bowiem uwięzionych spłonęła żywcem. Do podejmujących próby ucieczki z drewnianych zabudowań, w których gromadzono doprowadzanych z kościoła ludzi, strzelano z broni palnej i tylko niektórym udało się ująć z życiem. Jeden ze świadków, który w tym czasie liczył 23 lata, w czasie pacyfikacji zdołał się ukryć na skraju wsi. Zagrzebany w śniegu, przez cały dzień obserwował przebieg akcji. Widział płonące zabudowania, mordowanie swych współziomków. Przez cały czas dochodziły do niego odgłosy strzelaniny i przerażające krzyki żywcem palonych ludzi. Sam w tragedii utracił matkę i siostrę. Innemu świadkowi, który miał wtedy 17 lat, udało się wraz ze starszym bratem uciec do lasu i tam przeczekać pacyfikację. Uratowali życie, ale we wsi zginęli wtedy ich rodzice, dwóch młodszych braci i siostra.

Jeden z żołnierzy samoobrony, jeszcze przed rozpoczęciem akcji pacyfikacyjnej, w towarzystwie kilku kolegów opuścił wieś i ukrył w lesie w odległości około 2 kilometrów od Huty Pieniackiej, ale i tam dochodziły do niego towarzyszące masakrze odgłosy. Wieczorem, gdy znalazł się u swej siostry w Hucie Wierchobuskiej, dowiedział się od niej, że w czasie pacyfikacji zginęli rodzice i jej mąż, natomiast brat Józef, ciężko ranny pozostał w kryjówce na terenie wsi. W nocy udał się do Huty Pieniackiej, odnalazł ciężko rannego i poparzonego brata, którego wprawdzie zdołano dowieźć do szpitala w Złoczowie, ale tam następnego dnia zmarł.

Akcja pacyfikacyjna w Hucie Pieniackiej, której przebieg obserwowany był jeszcze (jak zeznają świadkowie) z powietrza przez niemiecki samolot zwiadowczy. Zakończyła się około godziny 17., gdy pijani sprawcy ze zrabowanym dobytkiem, śpiewając opuścili wieś.

Huta Pieniacka pozostała martwa z dogasającymi pogorzeliškami. Oprócz czterech zabudowań położonych na obrzeżu wsi w przysiółku zwanym Helena, kościoła i szkoły, wszystkie zabudowania zostały spalone. Z ukryć powychodzili nieliczni, którym udało się przeżyć, ale na noc opuścili wieś, szukając schronienia w Hucie

Wierchobuskiej, Złoczowie i innych okolicznych miejscowościach.

Następnego dnia ocaleni mieszkańcy i Polacy z okolicznych wsi zajęli się pogrzebem ofiar, których zwłoki umieszczono w dwóch zbiorowych mogiłach koło kościoła i szkoły.

Dziś trudno ustalić dokładną liczbę ofiar śmiertelnych akcji pacyfikacyjnej. Podawane przez świadków i przez inne źródła liczby oscylują pomiędzy 600 a 1200 ofiar. Jeden ze świadków wymienił z nazwiska około 200 ofiar, które rozpoznał w czasie pochówku zwłok. Najbardziej prawdopodobna jest liczba około 800 ofiar, ale na podstawie dostępnych dziś źródeł nie da się jej ustalić z całą pewnością.

Z przeprowadzonego śledztwa wynika, że sprawcami zbrodni był pododdział XIV Dywizji SS "Galizien" stacjonujący w Brodach.

W prowadzonym śledztwie zwrócono się do organów ścigania Federacji Rosyjskiej, Ukrainy i Niemiec o dokumenty archiwalne dotyczące tej pacyfikacji. Strona rosyjska i ukraińska odpowiedziały, że w tej sprawie nie mają żadnych dokumentów.

Do chwili obecnej w postępowaniu przesłuchano 60 pokrzywdzonych. Są to osoby, które przeżyły tę masakrę bądź straciły w niej najbliższych.

Celem prowadzonego śledztwa jest ustalenie składu osobowego oddziału XIV Dywizji SS "Galizien" stacjonującego w Brodach, ustalenie dowódcy tego oddziału, a także osób cywilnych, które pomagały głównie w grabieży domów i gospodarstw w Hucie Pieniackiej.

Wszelkie dane, które mają być w posiadaniu autorów filmu "SS w Wielkiej Brytanii", po ich uzyskaniu, zostaną poddane szczegółowej analizie i ocenie w kontekście wykorzystania w niniejszej sprawie.

Bogusława Marcinkowska jest prokuratorem Oddziałowej Komisji Ścigania Zbrodni przeciwko Narodowi Polskiemu w Krakowie, prowadzi śledztwo w sprawie zbrodni w Hucie Pieniackiej.

{MENU}

[Drukuj](#)

[Generuj PDF](#)

[Powiadom](#)

[Powrót](#)